Maciej R. Wierzbiński

Germ... inlici

Przebudzenie.

(Moment psychiczny)

Pani Marta obudziła się wcześniej niż zwykle. Było kilka minut po dziesiątej.

Rozwarła leniwie swe ciemne, inteligentne oczy francuzkie na jasną obszerną sypialnię i zefirowy uśmiech, jakby echo snu roskosznego, musnął wązkie wargi w sokolim locie.

Na marmurowym gzymsie kominka dygotał empirowy zegar, królujący wśród niebieskawych cacek porcelanowych z Chin przywiezionych, pulsował cichuteńko niby krew w organizmie, a dyskretne jego tyk-tak było jedynem przypomnieniem dźwięków w wysłonecznionej ciszy wysokiej komnaty.

Nasiąkła ciepłem łoża, z sennem rozmarzeniem w członkach uniosła się na posłaniu i złamana wpół, splotła drobne, wypieszczone dłonie na kolanach, okrytych puchową kołdrą różową, odetchnęła głęboko z poczuciem skończonego, cielesnego bien-être, rozpływającego się w żyłach eliksirem błogości. Czuła się taka wypoczęta, przepojona pogodą zdrowia, kipiącą w cichej radości życia.

I pozostała w tej pozycji, zanurzona w toni bezświadomego, zwierzęcego zadowolenia — bryła jędrnego ciała wśród śniegów koronkowej bielizny nocnej i poduszek, z których wyrastała śniadawa, jakby ogorzelizną skażona twarz dwudziestoośmioletniej kobiety, niepiękna, lecz bardzo żywa, z energją i finezją rzeźbiona.

Druga połowa łoża była wolna, bo mąż jej,

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

oficer marynarki wyjechał dnia poprzedniego do Marsylji w sprawie służbowej, i to poczucie, że jest sama, bez sąsiedztwa innego ciała i nie dzieli z nikim panowania nad wesołą atmosferą pokoju przejmowało ją subtelną radością.

A przecież w czasie dwuletniej służby męża na wodach indyjskich i chińskich owdowiała żona marynarza, zabijając nudę osamotnienia nałogową drzemką do południa, tarzała się nieraz, wiła lubieżnie na posłaniu w tęsknocie dojmującej zmysłów, które podsuwały jej przed oczy smukłą postać i wygoloną fizjognomję przystojnego lieutenant de vaisseau, komendanta kanonierki. Z jakiem serca biciem spozierała w ten [?] piękny dzień październikowy, chodząc po tulońskiem Quai de Cronstadt, na zielonkawo malachitową płytkę wody basenowej i wyglądała, żali nareszcie za dalekim wylotem portu ukażą się czarne kominy torpedowców, jako zwiastuny wracającej do kraju eskadry! Jak serce jej drgało od złotych odbłysków rozsadzającej ją radości, gdy dwie łodzie parowe, zaledwie wąskim paskiem wystające po nad wzburzoną powierzchnię morza, — coś niby komary delikatne biegnące nisko przed stadem olbrzymich ptaków wodnych — wpłynęły pierwsze do zatoki portowej, gdy za niemi ukazała się flaga admiralska na maszcie potężnego pancernika i jakaś kobieta, jak pani Marta żona marynarza, krzyknęła na głos:

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

3/ – Voilà „La République" du viceamiral!!

Wszystkie oczy wyleciały ku trójbarwnym flagom, co, strojąc stalowe cielska potworów morskich, fruwały, kryjąc się w falowaniu pod błękitami nieskazitelnego sklepienia – wyleciały, niby mewy głodne, na powitanie ukochanych, kochanków i mężów. Zagrała muzyka, zakipiała radość, zerwała się salwa oklasków i – pani Marta spoczęła pijana szczęściem w szczęśliwych ramionach kapitana.

I teraz wzrok jej brylantowy błądził po cudnym pejzażu portu tulońskiego, który hen nizko rozpościerał się przed ogromnem oknem domu w górnej, na stokach Mont Faron położonej części miasta. Poza płachtami dachów, przeplatanemi z rzadka wierzchołkami palm pióropuszystych i platanów dumnych, błękitniał się czworobok wody, ujęty w ciemnopopielatą girlandę murów, porosłych kamiennemi budowlami straży portowej. Pod jedną ścianą basenu szeregował się rząd ponumerowanych torpedowców czarnych, nizkich, podstępnych – a na przeciwnym brzegu, do którego zbliżały się zabudowania arsenału, na milowej rozłożone przestrzeni, sterczały dwie odwieczne galery drewniane – uhonorowane prababki, co ongi walczyły w ogniu bitwy trafalgarskiej, a teraz ślepe, nagie, szkieletowe, ziewnęły śmiertelną pustką z szeregów okien.

Mały parostatek pasażerski przecina wyzłoconą taflę „Vieille Darse". Wypłynął z obrębu basenu,

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

szybuje w błękity i szafiry przestworza porto-
wego, rozlewającego się ogromną, miriadami
blasków drgającą taflą wspaniałą. Grzbiet gór,
świerkami parasolistemi porosłych piętrzy się
na zachodzie, oskrzydla osady malownicze i port
opiekuńczem ramieniem, wydłuża się pasem
ku wschodowi w międzymorze piaszczyste, w pół-
wysep wązki, najeżony lasem, i sierpem skała
rozkołysane, barwne wody, tworząc tak idealnie
ochronioną przystań.

Ułożyły się na niej w odstępach miarowych
olbrzymie statki pancerne, poza niemi krążow-
niki chyże, a wśród tej zbrojnej plejady uwija
się, niby pająk żwawy, smukła pinaska, rozwo-
żąca rozkazy admiralskie. W łonach stalowych
twierdz wre życie, lecz zdala wydają się one
znieruchomiałemi na wieczyste czasy kolosami
– nutę posępnej powagi wprowadzającemi w
pejzaż, wesołemi malowany barwami, uśmiech-
nięty, jak lica majowej dziewczyny, ciepłem
promieniejący, czarowny.

Śmieją się do niego źrenice pani Marty,
jakby ukołysanej panoramą z lazurów, błę-
kitów i słońca gorącego utkaną, wyciągającą
do niej ramiona namiętne.

Z poza ściany pancerników wysunął się
krążownik, rusza ku wyjazdowi z portu. Zapewne
na ćwiczenie strzeleckie, na zawody z działami
ostoi nadbrzeżnych.

Może to „Fraternité"?... Na jego pokładzie
odpłynie wkrótce jej Armand do Senegalu – na
dwa lata...

O tym wyjeździe, marzącym nad nim, o tej
nowej, długiej iż rozłące mówi się i myśli

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

5/ nieustannie od kilku tygodni, aż do znudzenia.
Bo naprawdę ów wyjazd, ów krok, grożący im
od tak dawna, poczyna już mrożyć panią Martę
tak, iż w tej chwili — w chwili jasnowidzenia,
uświadomienia i szczerości — ma ~~[illegible]~~ w duszy słowa:

— Ah, niechże już sobie jedzie!

Czemu? Przecież tylokrotnie wspominała o bliskiem
rozstaniu z mężem pierwsza i to z łezką w oku,
która wydawała się jej szczerem ~~jej~~ serca wyrazem.
A teraz nagle czuje, że w ostatnich czasach był
to dźwięk zdawkowy, konwencjonalny, przyuczony
praktyką małżeńskiego pożycia, gdyż odjazd
Armanda nie martwi jej, nie smuci, lecz prze-
ciwnie raduje, niby wyzwolenie.

Z czego? Przecież ona go kocha? Mówiła to
sto razy jemu i sobie, uważa go niezmiennie
za najlepszego męża, zasługującego na głębokie
przywiązanie. Nie zdradziła go nigdy w czasie
dwuletniego wdowieństwa. Nie widzi zresztą
na swym widnokręgu żadnego mężczyzny,
któryby przemawiał do jej organizmu nerwowego
i sercowego tak silnie, by przyćmić, zbanali-
zować, pognębić obraz męża, wyryty w jej duszy.
Nie kocha nikogo innego, nie pragnie kochać,
nie śni o innej, jakiej egzotycznej miłości
niezaznanej. Nie!

Tymczasem raptem zaziera jej w oczy zdu-
-miewające odkrycie, że już nie kocha ~~męża~~.

Jakto? Czyż tkliwe słowa, zaklęcia, uściski,
pieszczoty i szały, jakiemi darzyła go przez
tak długo, były fałszem, kłamstwem? Bynaj-
-mniej, płynęły odruchowo ~~naturalnie~~ z zdroju jej
serca, atoli zdrój wyczerpał się do dna, wyschł

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

9/

otworzyły się przed nią podwoje do królestwa życia, a ona, z mgławic wynurzywszy się różowych, wychodzi niby oblubienica na spotkanie — szczęścia.

Życie! co kryje się w szczelinach tego nieboSiężnego wykrzyknika — nie wie. Może znaczy to tyle co wpić się do dna czyli, ująwszy ster swój w własne dłonie, pokierować niem tak, by wszystkie drzemiące w nas potęgi znalazły pełne swe zastosowanie, by wszystkie pragnienia napiły się w cudownej życia krynicy. Pragnienia te nienazwane wrą w niej jak lawa, grożąca przelewem poza krawędź wulkanu. I z błogiego zamętu wyskakują iskry nadziei fajerwerkowych — zwodniczych.

Kiedyś gadatliwa jej niańka prawiła, że człowiek zmienia się co siedem lat. Wzruszano nad tem ramionami. Jednakże ona stwierdza to na sobie teraz, że nie było to bajką, że w nieustannej przemianie materji tkanki jej przeobraziły się w innych ramach i istota jej uległa metamorfozie. Spoglądając wstecz, na przebyte pasmo bytowania, dostrzega na niem zwiędłe, pożółkłe liście pojęć, wierzeń i umiłowań, które w sokach jej zrodzone, były wówczas wszystkiem, aż okazały się niczem — łupiną opadłą z owocu, co dojrzewał w ukryciu jej pokrywy. I tak miłość zdała się ostatecznym wyrazem, istotą jej duszy aż zwiodła się z niej, niby mgła czarowna, bóstwo kryjąca, by odsłonić człowieka.

http://rcin.org.pl

Jest wolną... Lecz jakim będzie jej stosunek do męża? Jaką jego rola w jej życiu? Z jakiem czołem powita go jutro wracającego i pożegna niebawem odjeżdżającego?

Wielkie jej odkrycie na zawsze musi być opieczętowane ([illegible]) milczeniem. Nie tylko dla tego, że on nie zrozumiałby jej z góry i wyśmiałby z urazą, bolem, goryczą w duszy, lecz przedewszystkiem z tego względu, iż czuje, że sakramentalny moment taki, jako sprawa li tylko ją samą obchodząca i jedynie dla niej doniosła, musi pozostać świętą jej duszy tajemnicą. Nie umiałaby zresztą oblec w syllogizmy mistycznego uczucia, jakiego doznała, znaleźć formy dla wizji, jaka ją rozświetliła, ni wyrazu dla przedziwnego nastroju radosnego, jak nabożny pielgrzym nie umie zdać sobie sprawy z dreszczu egzaltacji w chwili podniesienia hostji.

Więc przyjdzie jej kłamać!... Grać rolę wzorowej, uległej żony, by nie domyślił się, że teraz już w czasie rozłąki nie będzie pławić się we łzach tęsknoty, wzdychać za nim, jak niewolnica za panem, ciążyć ku niemu, jako ku osi swego jestestwa, ośrodkowi swej istoty. By nie domyślił się, iż odtąd jest sam i ona sama. Że stanęła na własnych nogach, uniezależniła się od dominującego jego wpływu, gdyż przecięła się nić lęku, co drżał zawsze na dnie duszy jej w obliczu jego wyższości-męskości.

Dziś czuje się już nie żoną, lecz tylko towarzyszką, łączącą się z nim mocą rozkoszy

http://rcin.org.pl

11/ i różnych wspólnych interesów. Może oddawać mu się, ale nie jak małżonka, zakontraktowana na zawsze, jeno jak pani rozporządzająca sobą swobodnie. A gdyby w jego nieobecności zbliżył się do niej inny mężczyzna.... Kto wie? Kto wie, co przyniesie jej jutro, należące teraz nie do niego, lecz jedynie do niej?

Pani Marta nie odpowiada sobie na zagadnienia przesuwające się przez umysł, nie wnika w swe jutro, nie snuje planów, nie wyznacza drogi postępowania. Kąpie się w cichem, rozkołysanem morzu słonecznego zadowolenia, napina żagle, spoziera po za dzień wyjazdu Armanda śmiało i wesoło.

Światło bije z jej rysów, wzbogaconych teraz nowym wyrazem, ciepło wygodnego łoża przesyca jej duszę i w łonie jej dźwięczy potężna struna: wolna! wolna! wolna!

Drzwi poruszają się cichuteńko. Wchodzi garderobiana.

— Madame już nie śpi?

— Dopiero ~~teraz~~ w tej chwili się przebudziłam....

Tulon, w maju 1910.

http://rcin.org.pl